

## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### ZBIERANIE MOTYLI.



ubო dręczenie i zabijanie zwierząt, choćby najdrobniejszych muszek, jest rzeczą tak wstrętną, że nigdy nie chcielibyśmy czytelników naszych do czegoś podobnego zachęcać, czasem jednak zamiłowania naukowe skłaniają ludzi do zadawania śmierci niewinnym stworzeniom, a wówczas postępowanie ich przestaje być nagannem. Gdy dzieci na przykład łowią motyle dla zabawki jedynie, aby przez chwilę przypatrzeć się zbliżka ich pięknym barwom, a potem zdusić w palcach bez litości

rzucić na ziemię, jak zwiedły kwiatek, jest to okrucieństwo niedarowane. Lecz jeśli starszy młodzieniec lub panienka chcą sobie urządzić zbiór owadów, i w tym celu motyle chwytają, niepodobna im tego brać za złe.

Od lat kilku z nadejściem lata podawaliśmy w „Wieczorach” sposoby urządzania zielników, a ponieważ niepodobna raz po raz powtarzać tego samego, więc wszystkich, którzy mają ochotę zasuszać rośliny, odsyłamy do dawniejszych

roczników. Zajęcie to niezmiernie miłe, zawsze je zalecamy gorąco czytelnikom naszym, zwłaszcza czytelnikom młodszym. Nie odstręczamy jednak nikogo od zbierania motyli, to też podamy tu z kolei sposób przyrządzania ich, jak należy. Taki zbiorek, starannie ułożony, ponumerowany, ze stosownemi napisami, może stanowić przyjemną pamiątkę z wakacyj.

Kto chce zbierać motyle, powinien się zaopatrzyć najpierw w niektóre przyrządy niezmiernie proste i niekosztowne, opiszemy je szczegółowo. Motyle, owady łuskościenne, jak wskazuje ta nazwa, mają skrzydełka pokryte drobnymi łusczkami; one to nadają im te piękne, jaskrawe barwy. Przy najmniejszym potarciu, barwny ten pyłek się odrywa, wiedząc o tem dzieci, gdy ścisną nieostrożnie ładnego motylka, na palcach ich pozostają obtarte łusczki kolorowe. Przedewszystkiem też starać się trzeba, chwytając te wątłe stworzenia, aby nie uszkodzić pięknych skrzydełek. W tym celu robi się zwykle odrębnego rodzaju siateczka.

Kto nie ma sposobności kupić téj siatki, może ją sporządzić sam w domu, z tiulu, gazy, a najlepiej, według zdania znawców, z krepy, materiał ten jest najgładszy i nie obciera skrzydełek. Trzeba uszyć woreczek dość długi, u dna węższy, lecz nie śpiczasty, tylko zaokrąglony; w śpiczastym końcu motyl często grzęźnie i wydobywając go, łatwo uszkodzić można delikatne skrzydełka lub różki. Brzeg woreczka obszywa się szeroką, cieniutką tasiemką, we dwoje złożoną, w którą się wsuwa drucik żelazny giętki, można go tak urządzić z dwóch części osobnych, ażeby siatka się składała, ale to już jest zbytek, łatwo się bez tego obejść.



Drugim przyrządem niezbędnym przy łowieniu motyli jest poduszeczka na szpilki; robi się zwykle małą, okrągłą, opatrzoną petelką, na której ją zawiesić można u guzika. Szpilki należy wybierać w najlepszym gatunku, dość długie, najstosowniejsza długość jest 36 milimetrów, czarne są lepsze, bo pokrywający je pokost chroni od utlenienia, zwyczajnie często po kilku dniach zielenieją i w końcu nawet rozkruszyć się mogą.

Najważniejszą jest rzeczą przy tem zajęciu, każdy to przyzna zapewne, ahy biedny motyl, z konieczności na śmierć skazany, przynajmniej nie cierpiać długo. Różne też podawano środki na to, między innemi użycie do przekłócia szpilki w ogniu rozpalonej. Dziś jednak barbarzyński ten sposób został zarzucony, przekonano się, iż najskuteczniej, z piorunującą prawie szybkością działa na motyle cyanek potasu. Jest to gwałtowna bardzo trucizna, która pod żadnym warunkiem nie może się znajdować w rękach młodzieży i jeżeli podajemy tu sposoby postępowania, używane dziś powszechnie przy zabijaniu motyli do zbiorów, czynimy to w nadziei, że znajdzie się ktoś starszy, co w tem z pomocą przyjdzie młodym miłośnikom entomologii i tę niemiłą część roboty weźmie na siebie. Niema też żadnej potrzeby zaraz po złowieniu motyla przebijać go szpilką; znawcy upewniają, że bez żadnego uszkodzenia dla najpiękniejszych i najdelikatniejszych skrzydełek, może motyl pozostać kilka godzin zamknięty w papierowej tutce, lub lepiej jeszcze w małym pudełeczku tekturowym. Takich pudełeczek i kilka z łatwością w kieszeni przynieść można do domu i oddać osobie, która ma wziąć na siebie przykre zadanie przekalania i umieszczania w naczyniu z trucizną biednych stworzeń, śmierć ponoszących dla nauki.

W każdym razie ostrzegamy, że cyanek potasu największych wymaga ostrożności, nie należy go nigdy nawet ręką dotykać, tylko brać szczypczykami, bo gdyby chociaż lekkie zadrażnienie znalazło się na skórze i straszliwy jad tam się dostał, mogłoby to najsmutniejsze skutki spowodować. Bierze się do tego słoik, zatknięty szerokim korkiem, jakich zwykle używają po składach aptecznych. Krażek z mocnego papieru nakala się gęsto szpilką, u brzegów nacina go się w pewnych odstępach, potem, pociągnawszy ten brzeg ponacinany gumą arabską, wkłada się papier w głąb słoika i przykleja w taki sposób, aby utworzył podwójne dno. Wprzód jeszcze kawałek cyanku potasu, wielkości orzecha, owinięty w wate, umieszcza się na samym dnie słoika, dno podwójne go zatem przykrywa. Schwytanego i przekłótego motyla przybija się szpilką do korka z tej strony, która przy zatknięciu idzie do środka. Tym sposobem motyl dostaje się do wnętrza hermetycznie zamkniętego słoika. Wyziewy cyanku, wydobywającego się przez dziurki, ponakalane w papierze, w jednej chwili spełnią zabójcze swoje zadanie.

Słoiczek podobny dobrać należy niezbyt duży, ażeby wchodził z łatwością do kieszeni. Niektórzy urządzą to w sposób odmienny. Cyanek potasu, rozcieńczony wodą mieszają z gipsem na rodzaj ciasta, umieszczają ten placek na dnie słoika, więc denko papierowe jest niepotrzebne, a cyanek w gipsie przechowuje się nawet dłużej.

Motyl nieżyjący przechodzi następnie do pudełka drewnianego, które jest także niezbędną częścią rynsztunku łowcy motyli. Pudełko to zawiesza się na tasimce przez ramię, powinno być koniecznie z lekkiego drzewa, blaszane byłoby

bardzo niepraktyczne, bo się na słońcu rozgrzewa. Skrzynek taka, niezbyt duża, miara najstosowniejsza jest 35 centymetrów długości, 18 szerokości, powinna być podzielona na trzy części, a w części najobszerniejszej dno należy wyłożyć warstwą korkową, ażeby szpilki z motylami łatwo w nią wchodziły. Dwie mniejsze komórki służą do umieszczania gąsienic i poczwerek, gdyż łowcy motyli są zazwyczaj także i hodowcami.

Przyszedłszy do domu ze zdobyczą, nie odkładając długo, zając się trzeba ostatecznem ułożeniem schwytych motyli. Póki więc nie są jeszcze zeszytniałe, rozkłada się je na osobnym przyrządzie, także niezmiernie prostym i łatwym do sporządzenia własnoręcznie. Na deseczce zwyczajnej przytwardza się dwa grubsze, gładkie, czworograniaste kawałki drzewa, w taki sposób, ażeby utworzyły niby dwie ścianki, równoległe leżące obok siebie, pośrodku zaś pozostaje wązka szparka, wyłożona na dnie korkiem. Motyl umieszcza się na tym przyrządzie tak, aby ciało przebite szpilką leżało na szparce, w którą wchodzi szpilka i w korkowym dnie utyka. Po obu stronach, na gładkiej powierzchni deseczki rozkładają się płasko skrzydełka, dobrze uważać przytem należy, ażeby wszystkie cztery były widoczne w całej okazałości. Ułożywszy je, można przycisnąć wązkami papierowymi paseczkami, a brzegi tych pasków przykleić gumą lub przypiąć do deseczki małutkimi szpileczkami. Na tym przyrządzie, który najlepiej jest trzymać w szafie lub szufladzie, gdyż na otwartem powietrzu latające owady łatwo motyle uszkodzić mogą, powinny pozostawać póty, póki zupełnie nie wyschną. Wówczas dopiero zatyka się szpilki w miejscu, gdzie już na zawsze przechowane być mają.

Może się zdarzyć niekiedy, że w skutek mimowolnego opóźnienia, motyle wyschną zanadto i zeszytnieją, nim się zdąży je ułożyć porządnie na tym przyrządzie. Podamy tu sposób łatwy przywrócenia im giętkości. Bierze się naczynie jakiegokolwiek, czy to słoik zakorkowany, czy coś innego, byle do pokrywki można było przytwardzić motyle na szpilkach, pozostawiając je we środku naczynia, zamkniętego hermetycznie. Na dno nasypuje się warstwa wilgotnego żwiru, skrapiając go nieco kwasem fenilowym, dla ochrony od pleśni. W parę dni motyle najbardziej zeschnięte doskonale się odświeżają.

Lepszy jeszcze jest inny sposób i kto może, niech odrazu ten zastosuje. Na dnie naczynia, zamiast wilgotnego żwiru, nakłada się warstwa drobno pokrajanych liści rośliny, zwanéj laurowiśnią, *cerasus laurocerasus*. Liście te powinny być suche i zupełnie rozwinięte, pąki nie nadają się do tego użytku. Gdyby pożółkły i zeschnęły, można je zmienić parę razy w naczyniu. Motyle odświeżane tym sposobem nie zmieniają barwy, co niekiedy się zdarza przy użyciu pierwszego sposobu; zwłaszcza niektóre gatunki motyli łatwo bardzo błedną i płowięją od wilgoci żwiru.

Wdzięczni bylibyśmy niezmiernie czytelnikom naszym, gdyby nam zechcieli donieść, czy te wskazówki okażą się praktyczne, czy im się na co przydadzą? O urządzeniu zielników podług podawanych przez nas sposobów, miewaliśmy pożądaną wiadomości; donoszono nieraz, że się udawały dobrze, co nam wielką sprawiło przyjemność.

M. J. Z.



# WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODEJ DZIEWCZYNY,

spisała Br. Kuczyńska.

(Dalszy ciąg).

Wysłany naprzód siostrzeniec zarządził nastawienie samowara, gdyż o obiedzie nie mogło być mowy. Jakżeż mile słuchaliśmy szumu gotującej się wody! Koszyk nasz podróżny stał na stole, ponieważ i nasz woźnica do tego samego zajechał zajazdu; w mig rozpakowałyśmy obfite zapasy, które bardzo pojętnie się przedstawiały, dla naszych wygłodzonych żołądków. Godzina już była 12-ta, w pokoju sklepionym przyjemny chłód panował, zasiadłszy więc wygodnie, zjadamy i pijamy, usługują nam przytem uprzejmi młodzieńcy, martwi nas to, że nic prawie jeść nie chcąc, chociaż my ich do tego zachęcamy, ponieważ są zaproszeni na obiad w sąsiedztwo.

Przy jedzeniu przypominam sobie o roślinach, spoczywających w puszcze pana Stefana, zaglądam do nich, a że były zupełnie świeże, więc posyłamy po bibułę i wraz z uczonym botanikiem zabieramy się do suszenia. Nieźle jakoś poszło, postarałam się jeszcze o dwa grube kawały tektury, które usłużna gosposia z jakiegoś starego pudełka wyrwała i postanowiłam wziąć ze sobą to wszystko do Janowca, aby i tam rośliny zbierać, ku czemu botanik użycza mi swęj łopatki, którą mam zostawić w zajęździe za powrotem.

Po tym improwizowanym obiedzie, wyszliśmy wszyscy raz jeszcze na rynek, aby ogólnie mu się przyjrzeć. Wybrukowany jest cały, a niektóre z otaczających go domów mają starodawną cechę, tę im nadają wysokie podsienia, czyli rodzaj galeryi na słupach opartych, a od frontu domu dodanych. Pozostawał nam jeszcze jeden kościół do zwiedzenia, ku niemu więc zwróciliśmy swe kroki; po drodze jeden z faktorów, siwowłósy Aron, znów zbliżył się, ofiarując swe usługi. Tym razem zostały z konieczności przyjęte, gdyż zdobył on klucze od drzwi niezmiernie oryginalnego korytarza, pozwoli ku górze się wznoszącego, a który stanowi wejście najprzód na małeńkie, staremi drzewami ocienione podwórze, a następnie do kościoła i klasztoru, bo jest to dawna OO. Reformatów siedziba.

Kościółek ten, na wzór zwykłych reformackich zbudowany, z ciemnymi ołtarzami i obrazami świętych patronów tego zakonu. Z kościoła jest zejście do grobów, w których jeszcze widoczne leżą ciała zakonników w habitach. Całe nasze towarzystwo zwiedzało te podziemia, prócz mnie jednej; nie lubię przypatrywać się temu, co nie żyje, dziwnie przynębiające wywiera to na mnie wrażenie, a że pragnęłam być ciągle wesoła, więc pozostawszy na górze, rozmawiałam z żoną zakrystyana. Ta wcale nie dziwiła się, iż zejść do grobów nie chciałam, bo także ma takie usposobienie, jak mówiła; opowiadała mi przytem, że jeden tu jest tylko ksiądz, mieszkający w celi któregoś z dawniejszych mieszkańców tamtejszych; zachęcała mnie, abym z nią poszła, to mnie po korytarzach klasztornych oprowadzi tymczasem. Wolałam jednak zaczekać chwilę i razem pójść z innymi. Bronia żalowała, że dała się unieść ciekawości, bo bardzo przykrego doznała uczucia.

Tuż przy drzwiach od wejścia są schody, prowadzące na górę, weszliśmy na nie, aby zwiedzić owe korytarze, które są zupełnie jeszcze dobrze zachowane, jakoteż i cele, z obu stron się znajdujące. Przez okna zakratowane widać było szafy z książkami, jest to podobno część dawnęj klasztornej biblioteki. Przy końcu jednego korytarza spostrzegłyśmy uchylone drzwi i usłyszałyśmy szmer jakiś, zaciekawione nad wyraz, co to być może, wystawiając sobie w bujnej swęj wyobraźni różne dziwy, zbliżyłyśmy się pocichutku i naraz obie parskały śmiechem głośnym, serdecznym, który echem rozszedł się po wszystkich sklepieniach i zaniepokoił panów, przyglądających się jeszcze starodawnym foliałom.

Ale bo też doprawdy można się było szczerze rozśmiać, choć przyznaję, że w danych okolicznościach było to trochę niegrzecznie; z pewnością nikt ze śmiertelnych nie mógłby się był domysleć tego widoku, jaki nasz uderzył. Bo to ni mniej ni więcej, tylko ujrzałyśmy w owęj celi młodego jakiegoś mężczyznę w białym fartuchu, otoczonego kłębanami papierosowego czy też fajkowego dymu, i pilnującego kilku robotnic, zajętych wydrążaniem wiśni. Widok to był tak niespodziewany i tak nieodpowiedni wśród poważnych cel zakonnych, a przytem taki zabawny, że nie można było nam brać za złe naszego śmiechu. Panowie, zbliżywszy się, nie oparli się także pokusie, i choć nie tak głośno, ale śmieli się serdecznie.

Ów jegomość, którego nawet wpośród fantastycznych obłoków dymu dojrzeć nie mogłyśmy, był podobno cukiernikiem z Warszawy, przygotowywującym smaczne konfitury dla delikatnych miejskich podniebień. Pewno musiał być na nas obrażony, ale to trudno, nie śmiać się było niepodobieństwem, powtarzam raz jeszcze. A co tam było miednic, rondli, patelni, to pewno i klasztorna kuchnia więcej nie posiadała tych przyborów.

Poza oknem, znajdującem się w końcu korytarza, a przez które przyglądałyśmy się znów innemu widokowi, jest urządzonego kompas, owoc pracy zapewne któregoś z pracowitych zakonników. Pan L. spostrzegł z przerażeniem, iż godzina już była druga, jak utrzymywał, w miłym naszym towarzystwie i widocznym naszym zajęciu się tem, co on prawie kocha, tak mu było przyjemnie, że zapomniał o godzinie; lecz teraz śpieszyć się musi, bo konie pewno już dawno czekają, a i litewskie kołduny, na które byli zaproszeni czekać nie lubią. Pożegnaliśmy ich z wielkim żalem, bo nam bardzo dobrze było razem, widocznie znajomość, w podróży zawarta, łatwiej jakoś się zawiera i mniej ceremonialną się staje; a może to bywa tylko z takimi ludźmi jak pan L. i jego siostrzeńcy.

Na nas był też już wielki czas do Janowca podążać, bo choć odległość niewielka, ale potem jeszcze do Puław wracać trzeba było, aby się dobrze wywczasować i do Czarnolesia jechać. Już tę wycieczkę obiecałam miałam dawno i cieszyłam się nią nadzwyczajnie, bo często o tem marzyłam, aby siedzibę uwielbianego przezemnie Jana Kochanowskiego i uroczej Urszulki poznać.

Schodzimy tedy nad Wisłę, aby promem na drugi brzeg się przedostać, chwilę trzeba było oczekiwać, bo właśnie przewoźnicy wracali z tamtej strony. Nadjechał jakiś pan poważny węgierskim wózkiem, zaprzężonym w gniade konie, które od razu bardzo mi się podobały, bo przypominały te, któremi zawsze w domu powożę. Prom zbliżył się tymczasem, weszliśmy więc wraz z gromadką ludzi, czekających również na przewóz, wózek wjechał także, a właściciel jego zsiadłszy, podszedł ku nam z grzecznym ukłonem i zapytaniem: Czy do Janowca dążymy? Nie trudno było domyślić się celu naszej wycieczki, bo obie z Bronią miałyśmy zwrócone ku tamtej stronie oczy i w dalszym ciągu, po przedstawieniu się wzajemnem nawet, nie bardzo zważałyśmy na rozmowę panów. Dopiero gdy o uszy moje się obila nazwa Nałęczów i nazwisko artystki, która dawniej czarowała wszystkich w teatrze, obecnie nie występuje już, choć tego wszyscy żałują, bo cudnego jęj wrodzonego wdzięku nikt zastąpić nie może; gdy więc usłyszałam wzmiankę o osobie, którą pragnęłam usłyszeć całą duszą, a przytem wymieniono wyrazy: „koncert, nowy ołtarz w kościele”, nie mogłam wytrzymać dłużej na swoim miejscu, bo plusk wiośel nie pozwalał dobrze słyszeć, zapomniałam o swęj piętnastoletniej powadze, podskoczyłam i pobiegłam pędem, tak, że aż gniadosze się przestraszyły. Szczęściem stangret trzymał je mocno, bo mogłoby się stać co złego.

Zawstydyłam się trochę i wolniej zbliżyłam do ojczałka, który już domyślił się, o co mi chodziło; nie chciał mi jednak zaraz powtórzyć to, czego się dowiedział, lecz wprzód mnie przedstawił jako swoję jedynaczkę, troszkę czasem roztrzępaną, której to trzeba wybaczyć, bo bardzo kocha



wszystko, co swojskie i to głównie ją w taki zapal wprawia, że gotowaby nawet do wody wskoczyć, gdyby tam miały się znajdować jakieś ciekawe zabytki z dawnych czasów. Pan B. obywatel z Radomskiego, uśmiechał się i może litował nade mną, bo raki jeden po drugim pojawiały się na mej twarzy, gdy zdobywszy się na piękny dyg, stałam spokojnie, aby się prędzej dowiedzieć o wszystkim. Nie nadużywał mej cierpliwości kochany ojczulek i przedstawwszy jeszcze moję koleżankę, powiedział:

— Czy wiecie, panienki, że pojutrze koncert w Nałęczowie? Bierze w nim udział nieznana wam, ale wysoko ceniona przezemnie artystka, pani S., która przebywając w pobliżu Nałęczowa na letnim mieszkaniu, została uproszona do wypowiedzenia jakiego wierszyka. Jaka szkoda, że dro-

dać poprosić, a ponieważ ja wiem, że każde moje pragnienie, o ile w granicach możliwości się mieści, spełnione bywa, więc też i prosić mi łatwo zwykle przychodzi. Radości mej trudno wystawić sobie w chwili, gdy już byłam pewna, że ziści się to, czego oddawna sobie życzyłam, i że przy tej sposobności poznam piękny Nałęczów i jego okolice.

(d. c. n.)

## SZCZEGÓLNE ŁOWY.

Od niepamiętnych czasów i u wszystkich narodów ludzie używali pomocy zwierząt do polowania. U nas obecnie tylko



Szczególne łowy.

ga nam nie tamtędy wypada... prawda? — kończył, spoglądając na mnie z filuterym uśmiechem.

— Jakto nie tamtędy droga prowadzi? alboż inaczej jechać można? tylko trochę od stacy zboczyć trzeba, ale to przecież nic nie szkodzi. Wszak zrobisz to, ojczulku, dla mnie, a że o jeden dzień powrót nasz do domu się opóźni, to także nic nie szkodzi, żniwo jeszcze daleko, a przeczuwając, że ojczulek coś o letnim rzepaku chce wspomnieć, przerwałam mu przedziutko i zwracając się do p. B., dodałam, uprzedzając tamte słowo — wszak jeszcze nawet i na rzepak zawczesnie...

I wygrałam sprawę! przyznaje wprawdzie, że mi to wcale nie było trudno, i zdaje mi się, że mój drogi ojczulek, usłyszawszy o koncercie, odrazu umyślił sobie zboczyć, aby skorzystać z tej szczęśliwej sposobności; ale chciał się troszkę

psy rozmaitych gatunków przyuczane są do tego, dawniej bardzo rozpowszechnione były łowy z sokołami. Najosobliwszy jest jednak pomysł używania do tego ryb. W Ameryce np. i innych nadmorskich okolicach krajowcy umieją delfiny zaprawiać do łowienia tyńców, makreli i innych ryb. W innych stronach znów nieduża ryba, zwana podnawką, *echeneis remora* lub *naucrates*, służy do łowienia ogromnych żółwi. Szczególniejsze te łowy widywali podróżnicy na wybrzeżach afrykańskich i amerykańskich, na wyspie Kubie i w innych miejscach, gdzie przebywają żółwie morskie.

O podnawce musimy wrzód powiedzieć słów kilka, gdyż ryba to historyczna. Starożytni żeglarze rzymscy i greccy utrzymywali, że pomimo niepozornej postaci i rozmiarów niewielkich, podnawka ma siłę zatrzymać statek, gdy się do spodu jego mocno uczepi. Prawdy w tem jest tylko



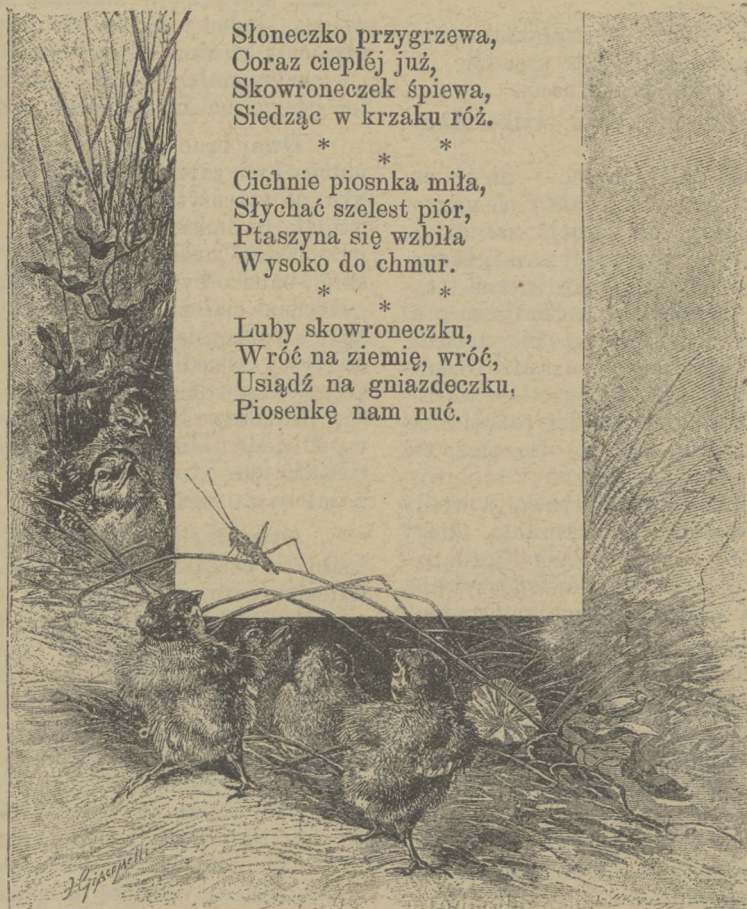
tylę, że ryba ta rzeczywiście czepia się statku, tak samo jak i innych twardych przedmiotów, napotykaných w wodzie, skał, głazów, a często także i ryb większych, jak rekinów, którym nawet zazwyczaj towarzyszy. Poco to robi, niewiadomo, lecz musi to ję być na coś potrzebne, bo zwierzęta rządzą się zawsze nieomylnym instynktem. Ma też podnawka do tęg czynności niezwyklej przyrząd osobny, niezwykle także. Na wierzchu głowy ję leży płaska, podługowata tarcza, poprzecznemi, ruchomemi wręgami podzielona, a są to jakby bańki, któremi ryba silnie chwytą każdy twardy przedmiot.

Tarczę tę widać wyraźnie na rysunku naszym, wygląda

## SIŁA UCZUCIA,

PODANIE DAWNE.

Przed wiekami pewna niewielka wysepka, jedna z wysp Hebrydzkich, kwitła szczególniejszem szczęściem, niby raj małeńki, zamieszkały przez kilka licznych, pracowitych rodzin, używających w zgodzie i spokoju swobodnego i pełnego prostoty życia. Wtem okrutni rozbójnicy morscy, grasujący po wszystkich morzach wówczas znanych, dowiedzieli się o cichym, szczęśliwym zakątku, zajrzawszy raz doń przypadkiem i postanowili z odkrycia korzystać. Więc najprzód



Słoneczko przygrzewa,  
Coraz cieplęj już,  
Skowroneczek śpiewa,  
Siedząc w krzaku róż.

\* \* \*

Cichnie piosnka miła,  
Słychać szelest piór,  
Ptaszyna się wzbiła  
Wysoko do chmur.

\* \* \*

Luby skowroneczku,  
Wróć na ziemię, wróć,  
Usiądź na gniazdeczku,  
Piosenkę nam nuć.

tak, jakgdyby duży krążek drewniany leżał na grzbiecie ryby. Widzicie tu bowiem podnawkę, wypuszczoną na długiej linie, uwiązanej do obrączki żelaznej, która zaciska ogon ryby. Indyanie przywożą ją z sobą w łodzi, trzymając rozumie się w naczyniu, napelnionem wodą słoną; przybywszy na miejsce, gdzie już wprzód upatrzyli żółwie, wypuszczają podnawkę, a ta usiłuje zerwać się z liny i uciec. Nie mogąc tego dokazać, szuka wszędzie dokoła schronienia, spostrzega żółwia, ukrywa się pod nim i do twardej skorupy przylega całą siłą. Gdy trzyma się ję dostatecznie, Indyanie przeciągają linę, na której już teraz mają dwóch jeńców, ryba bowiem ciągnie za sobą skorupę żółwia, a większy daleko zwierz nie może się oderwać i pozbyć nieproszonego towarzysza.

zaczęli grabić i łupić wszystko, co mogło im się przydać, nawet młodych chłopców i młode dziewczątka porwując do siebie na ciężką służbę, jeżeli nie zdołała młodzież, wypatrzywszy ich zbliżanie się do wysepki, uciec i ukryć się w niedostępne i trudne do znalezienia kryjówek w skałach. Potem, gdy nie było co brać i gdy rozbójnicy spostrzegli, że młodzież nauczyła się ukrywać, wzięli się na inny sposób: oto chwyтали kogo bądź, choćby najstarszych ludzi, którzy i uciekać nie mogli i ukryć się gdzie już nie mieli, i na wzgórzu umyślnie, aby to było widocznem, mordowali ich, zadając najsrozsze męczarnie, chcąc bólem wydobyć u nieszczęsnych wyznanie, gdzie są ukryte jakiekolwiek zapasy i młodzież. Dużo starców umierało, nie wydawszy nic; ale i tak się zdarzało, że dzieci i wnuki, słysząc jęki konających, wybiegały same z kryjówek i oddawały się rozbójnikom aby starców ocalić.



Straszną rozpacz zapanowała wśród zgłodniałej i umęczon-  
zonej ludności na szczęśliwej dotąd wysepce. Chociaż roz-  
bójnicy odpłynęli, rozpacz nie opuszczała mieszkańców, bo  
nie wiedzieli ani dnia ani godziny, w których powrócić miało  
nieszczeście, a powracało niechybnie. Nie warto było nawet  
starać się o utrzymanie życia, gdy wszystkie owoce starań  
i trudów wróg zabierał wraz z życiem samem. Nieszczęśliwi  
zamyślali już wszyscy odrzucić się w morze i tak zakończyć  
nędzę swoją, gdy wtem jeden ze starców rzekł:

— Czekajcie, spróbujmy jeszcze jednego sposobu!

— A jakiż tu sposób istnieć może!... — westchnęli zroz-  
paczeni.

— Oto taki: wszak wiadomo wam, że wódz rozbójni-  
ków, którzy nas mordują, dla tego właśnie trafił do naszego  
zakątka, że sam zeń pochodzi, i bratem jest naszego poczci-  
wego Oswalda; ale porwany dzieckiem wraz z łódką przez  
fale, dostał się w ręce rozbójników i wśród nich na rozbójni-  
ka wyrósł...

— Niestety! wiemy o tem dobrze — zapłakali i inni  
nieszczęśliwi — bo wszakże on na tej niby to zasadzie, że  
złąd pochodzi, rości prawo do panowania nad nami.

Oswald, mąż w sile wieku, nic nie mówił, tylko zakry-  
wszy twarz, płakał.

— Otóż to właśnie — mówił dalej starzec — na tej za-  
sadzie, że i rozbójnicy mają zawsze zwyczaj, jakby na urągo-  
wisko prawom, udawać, że działają na jakiejś zasadzie...  
Niech Oswald dla dobra rodzinnej wyspy i całej naszej ludno-  
ści poświęci się, niech się odważy na rozmowę ze swoim stra-  
sznym bratem i niech mu powie, że jeżeli jeden brat ma pra-  
wo do panowania nad wyspą dla tego, że się na nią urodził,  
to takie samo prawo ma i drugi brat; niech rozsądzi to pra-  
wo pomiędzy dwoma braćmi pojedynek, którego Oswald za-  
żąda. Wiemy, że takie rzeczy dzieją się między rozbójnika-  
mi, że oni robią sobie z nich rozrywkę, więc kto wie, może też  
nie zamordują Oswalda od razu, lecz pozwolą mu z sobą roz-  
mawiać i może rozbójnik przystanie na pojedynek, a wtedy  
reszta zależałaby już tylko od rozumu i sił Oswalda, który  
kocha serdecznie nas wszystkich, i swoją własną liczną ro-  
dzinę, i wyspę, na której prochy jego pradziadów spoczywają,  
a wiadomo, że rozum i siły mają źródło w sercu, w uczuciu...

Umilkł starzec i wszystkie oczy błagalnie zwróciły się  
na Oswalda. On odkrył twarz łzami zalaną i rzekł:

— Uczynię powinność moją, żegnajcie! — i wzięwszy  
kawał żagla na żerdź wysoką, i dużą konchę służącą do prze-  
syłania głosu daleko, poszedł na miejsce gdzie zazwyczaj roz-  
bójnicy wylądowywali, i czekał, a wszystka ludność skryła się,  
jak mogła. Czekał, aż niespodzianie, jak zawsze, ukazała się  
z daleka wielka łódź rozbójnicza. Natenczas Oswald zaczął  
machać żaglem na żerdzi i wołać przez swoją konchę to  
wszystko, co mówił starzec, w tych słowach:

— Bracie mój, straszny rozbójniku! słuchaj mię, bom  
jest Oswald, brat twój bliźniak, i chcę ci słowo powiedzieć!

Oswald dla tego tak zdaleka wołał, że z blizka możeby  
czasu na rozmowę nie było, gdyż rozbójnicy częstokroć mor-  
dowali ludzi przed rozmową. Usłyszano i zrozumiano jego  
wołanie, i na łodzi zbliżającej się ciągle tymczasem, powstał  
ogromny, o dwie głowy od towarzyszy wyższy dowódca, i za-  
wołał, biorąc się jedną ręką w bok, a w drugiej gołym i błysz-  
czącym wymachując mieczem:

— Jam jest pan i władca wyspy, na której zrodzony  
byłem, czegoż to chcesz odemnie, bliźniaku?

— Jeżeli ja ci bliźniak — odparł wtedy Oswald — to  
wyspa, na której byliście zrodzeni, jednakowo tak do mnie,  
jak do ciebie należy; dla czegoż więc i jakim prawem ty sam  
jeden jęć władcą się mienisz?

— Dla tego, że ja ją zawładnął; kto ma siłę, ten ma  
prawo! — dumnie odpowiedział olbrzym.

— Albo to ty ją zawładnąłeś? — krzyknął na to  
Oswald — albo to ty masz siłę? to ręce i miecze licznych  
twoich towarzyszy zawładnęły wyspą, to oni mają siłę, ale  
nie ty!

— A to i prawda! — rozśmieli się towarzysze rozbójni-  
ka. To dotknęło dumę jego, zacerwienił się i zakrzyczał:

— Niech i tak będzie! Słuchaj, mój bliźniaku, poje-  
dynkujmy się, kto zwycięży, zawładnie wyspą!

— Niech tak będzie! — rzekł Oswald.

— Niech tak będzie! — powiedzieli rozbójnicy i wylą-  
dowali na skały, na których stał Oswald. Rozbójnik brat  
zbliżył się do bliźniaka, zmierzył się z nim, a widząc jego  
głowę poniżej swęj piersi, wzruszył wzgardliwie ramionami  
i usiadł spokojnie na skale.

— Któż będzie układał warunki pojedynku? — spytał  
rozbójnicy.

— Wy! — odrzekli bracia bliźniacy. Rozbójnicy za-  
siedli, naradzili się i taki wydali wyrok:

— Odpłyniemy od wyspy na kilka mil, tam spuścimy  
na fale dwie te oto maleńkie łódki, dwaj bracia bliźniacy  
wsiądą, jeden w jedną, drugi w drugą, i popłyną, a my po-  
płyniemy za nimi: który z nich dwóch prześcignie drugiego  
i własnem ciałem i krwią dotknie gruntu rodzinnej wyspy,  
ten będzie nad nią panował, a drugi odejdzie w pokój.

Dwaj bracia przystali na taki wyrok, któremu nic nie  
można było zarzucić, gdyż takie „dotknięcie ciałem i krwią”  
było najstarszą formą „wzięcia w posiadanie”, jaka  
istniała na lądach i morzach, w tem to właśnie znaczeniu  
i Bolesław Chrobry mieczem swoim „dotykał” bramy kijow-  
skiej, bardzo być może, że prócz tego dotykał jęć i gołą ręką,  
„własnem ciałem i krwią”, wedle starego zwyczaju. Tak roz-  
sądzili rozbójnicy i natychmiast zajęto się tym pojedykiem.  
Wszyscy wsiadli napowrót do ogromnego statku rozbójni-  
czego, odpłynęli na kilka mil od brzegu, spuścili dwie maleń-  
kie, jednakowe łódki, każda o dwóch wiosłach i żaglu, w każdą  
wsiadł jeden bliźniak, i na dany znak obie pomknęły razem,  
odepchnięte od wielkiego a bystrego statku, który posunął  
z daleka za niemi.

Oswald, choć nie olbrzym, był przecież dzielny, zręczny  
i silny; z początku więc doskonale się trzymał, a nawet, jako  
daleko zręczniejszy, na czem olbrzymom najczęściej zbywa,  
zaczął wkrótce znacznie brata prześcigać, tak, że gdyby wy-  
ścig trwał krócej, byłby wygrał niezawodnie. Odległość  
jednak była za daleka na zwykłe ludzkie siły, więc olbrzym  
o sile nadzwyczajnej, co z początku na zręczności stracił, to  
później zaczął wytrwale siłą odzyskiwać. Gdy trzy części  
drogi przepłynęły, on się już z bratem zrównał. W czwar-  
tej części płynęli jakiś czas równo, bo nieszczyśny Oswald,  
krwawym potem i krwawymi łzami oblany, dobywał sił osta-  
tnich z głębi kochającego serca; ale wszystko ma swe grani-  
ce... W pobliżu wysepki olbrzym zaczął znacznie brata  
wyprzedzać, a wkrótce już mu potrzeba było tylko kilka razy  
wiosłem uderzyć, aby na pierwszy brzeg wyspy mógł wysko-  
czyć. A wtem Oswald, czerpiąc pomysł i siłę w rozpacz,  
wyskoczył ze swego czółenka w morze wśród skał przybrze-  
żnych i kładąc swoją lewą ręką na skale, odciął ją jednym  
ciąciem miecza, potem, wzięwszy tę lewą ręką w rękę prawą,  
cisnął ją z takim zamachem, że upadła krwią zbroczona na  
wybrzeże wysepki rodzinnej, a Oswald krzyczał:

— Oto biorę Boga na świadka, że ciało moje i krew  
moja, *pierwsze* dotknęły gruntu rodzinnej wyspy!

Olbrzym stanął jak wryty w łódce swojej, i wielki roz-  
bójniczy statek zatrzymał się także nieruchomo... a potem  
jeden i drugi zawrócili i znikli wkrótce na krańcach widno-  
kregu, nie dotknawszy więc stopą wysepki bliźniaka  
Oswalda.

Uratowani i wdzięczni mieszkańcy okrzyknęli władcę  
swym Oswalda, żądając, aby *ręka zakrwawiona* była odtąd  
jego znakiem rodowym. Jakoż ród Oswaldowy przez wiele  
wieków panował nad szczęśliwą znowu wysepką, a jedna  
z najznakomitszych rodzin szkockich posiada dotąd w herbie  
swym *ręką zakrwawioną*.



# GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Innym razem uraczył nas Auab improwizacją śpiewaną jednego ze swoich menestrelów, który zawodził na cześć naszą hymny pochwalne przy towarzyszeniu piszczałki. Jest to narzędzie muzyczne całkiem pierwotne, urządzone po prostu z trzciny, opatrzonej dwiema czy trzema dziurkami z boku. W pieniach tych, dla nas naumyślnie złożonych, improwizator ślał wysokie wojenne zdolności męża, którego zwał „Francis bono”, a był to rozumie się towarzyszący nam zawsze p. Lemerrier. Potem wynosił pod niebiosa mądrość sędziwego botanika, jego znajomość wszelkich ziół, dobroczynnych i jadowitych, wreszcie wiedzę głęboką lekarza pięknej cudzoziemki. Lekarzem byłem oczywiście ja, piękną cudzoziemką p. Katarzyną. Dla niej jednak nie śpiewano osobnego hymnu, jak domyśliliśmy się później, przez nadmiar czci i szanowania, nie chciano jej kłaść na równi z innymi.

Tegoż samego dnia wieczorem, około dziesiątej godziny, trubadur Auaba zbliżył się do naszych okien i zasiadł na trawie po turecku. Najpierw flecista odegrał rodzaj uwerwury, improwizator następnie głos podniósł i śpiewał na smętą, jednostajną nutę, następującą piosenkę, którą sobie co do słowa spisałem:

„Cudzoziemka jest biała, jak mleko, wysmukła, jak gazela, kibić jej wznosi się wspaniale, jak palma najcudniejsza. Gdy się porusza, podobna jest do gałązki palmowej, wiatrem wieczornym kołysanej. Gdy się przechadza, oczy patrzących pociąga do siebie, w sercach ich budzi niepokój. Lica jej są tak jasne, jak tarcza księżycy w pełni, rozpraszają ciemności dokoła. Policzki jej, rumiane jak korale, mają wdzięk owocu palmowego, piękna cudzoziemka podobna jest do rozkosznego, dojrzałego daktyla. Wzrok jej przeszywa tak trafnie, jak strzały wojowników z Timisao, oczy jej, to dwie gwiazdy najjaśniejsze. Zęby ma bielsze od najpyszniejszej kości słoniowej z Bornu. O, dla niej, dla pięknej cudzoziemki, warto skosztować mózgu hyeny!”

— Ho ho! patrzcież państwo, co mu to w głowie — zawołał p. Lemerrier — a toż serenada po formie i serenada, mająca bardzo poważne znaczenie.

— Czyżbyś pan sądził?... — zapytałem.

— Nie słyszałeś pan o mózgu hyeny?

— Cóż to znaczy?

— Ba, co znaczy! Tu w Sudanie, jeżeli się kto zakocha na zabój, mówią o nim, że skosztował mózgu hyeny. Trubadur ten prosto wyśpiewał oświadczyzny.

— Jakto? przypuszczasz pan, że ten człowiek był tak zuchwałym?... —

— Ależ nie on wcale, tylko pan jego, Fredzi eg Auab. On przecież śpiewał w jego imieniu. Wódz Tuaregów popodał mu treść i kazał w ozdobnych słowach wyśpiewać własne swoje myśli.

— Więc pan przypuszczasz, że ten wódz, ten Auab?... —

— Toż jasne, jak słońce, piękna panna go oczarowała i oto wystąpił od razu z oświadczeniami.

— Oświadczył się p. Katarzynie?

— Przecież nie pani Guduli.

— Ależ to niepodobna.

— Cóż niepodobnego? Ja już przedtem zauważyłem, że ile razy p. Katarzyna przechadza się po ogrodzie, wódz patrzy na nią, jak w tęczę.

— To straszne rzeczy! Przecież to dziki człowiek.

— Ej, dziki, dziki; lepszy on jest, chociaż dziki, od wielu oświeconych Europejczyków.

— A toż prawdziwe nieszczęście. Mów pan sobie co chcesz, zawsze to nowe dla nas niebezpieczeństwo; bo jeżeli mu się naprawdę ubzdry takie szaleństwo w głowie, gotów

nas potem gwałtem zatrzymywać. Ale czyż on jest dotąd nieżonaty?

— Nigdy do tej pory, wiem to doskonale, nie spojrzął nawet na żadną kobietę, choćby najpiękniejszą. Nie mały to tryumf dla p. Katarzyny, że w nieczułym sercu wodza od razu taki płomień rozniecił.

— Dajże pan pokój, mnie to przeraża.

— Niesłusznie, mój drogi panie. Znam dobrze tego człowieka, którego pan pogardliwie dzikim nazywasz. Jest zacyz slachetny, wspaniałomyślny; nie pojmuję, zkad się wziął w Afryce taki rycerz średniowieczny. Bądź pan pewny, że uczucia swoje w rycerski sposób jedynie objawiać będzie i żadnej przykrości państwu nie przyczyni. Nie dziwiłbym się wcale, żeby p. Katarzyna oceniła to bohaterskie serce, jak na to zasługuje i wzajemnością mu odpłaciła.

— Co też panu w głowie! Chciałbyś pan, żeby wyszła za wodza afrykańskiego?

— Alboż wódz afrykański to nie taki sam człowiek, jak inni?

Nic już nie odpowiedziałem, wzruszyłem ramionami, a że już pora była spóźniona, powiedzieliśmy sobie dobranoc i udaliśmy się każdy w swoją stronę na spoczynek.

## IX.

### Timbuktukoj.

W rozległych zabudowaniach zaui mieści się jeszcze jeden oddział, o którym nie wspominałem dotąd. Jest to rodzaj salonu publicznego, w którym gromadzą się, i mieszkańcy miejscowi, i przybysze z najrozmaitszych stron kuli ziemskiej, w ogóle ludzie poważni, uczeni, „ulemowie” na przykład, pełniący obowiązki kronikarzy i zapisujący dziejowe wypadki współczesne. Politycy, dyplomaci, tu roztrząsają sprawy krajowe, udzielają sobie ważnych wiadomości, porozumiewają się pomiędzy sobą. Obok tego salonu głównego mieści się coś nakształt cukierni, gdzie goście zapijają „wodę Simsim” i palą cygara z Bamba, ku wielkiemu zgorszeniu Fulanów. Jednem słowem ta część zaui odpowiada naszym europejskim resursom, klubom, kasynom.

Było to 5 Stycznia 1880 r. około południa siedzieliśmy obaj z przyjacielem Francuzem w tej afrykańskiej resursie, gdy rozniosła się pośród zgromadzenia wieść bardzo ważna, która też wielkie wywarła wrażenie. Mówiono, że przybył do Timbuktukoj poseł nadzwyczajny sułtana Ahmadu, władcy państwa Massyny i przywiózł dla szejka Achmeta el Bakai depesze niepospolitej doniosłości.

Wiadomość okazała się prawdziwą. Treść owych depesz niedługo miała pozostać tajemnicą dla nas i dla całej publiczności. Około pierwszej godziny po południu piskliwy głos „muezyina” wezwał do meczetu Sankory całą starszyzną miejską, z którą zapoznaliśmy się na owym paradnym obiedzie u szejka. Na znak uroczystości posiedzenia i ważności jego, wywieszono na minarecie wielką chorągiew żółtą z zielonem.

O trzy kwadranse na drugą wszyscy dostojnicy i wysocy urzędnicy miejscy byli już na miejscach swoich w meczecie. My z Francuzem wkręciliśmy się także za innymi, wiedzeni ciekawością. Pierwszy głos podniósł szejek Achmet, wydał rozkaz przybocznej swjej dworskiej straży, by z należnemi honorami i ceremoniałem zwyczajnym wprowadziła szlachetnego Ali Mohameda el Feredzi, posła potężnego i najwzwyższego sułtana Ahmadu ben Ahmadu, wszechwładnego pana Massyny i wielu innych krajów.

Po chwili wszedł poseł, powitany pocałunkiem pokoju przez szejka i wysokich dygnitarzy zasiadł na wyznaczonym sobie miejscu i wypowiedział wieści, z którymi przybył. Objawił zatem, że plemię Auelimidenów wypowiedziało wojnę sułtanowi, a pobudzone było do tego jawnie przez Anglików.

— Wszak wiecie — rzekł na zakończenie — co to są Auelimidenowie. Nie warci nazwy ludzi, są to psy i psie syny.



— Feredzi dobrze powiedział! — wołało jednogłośnie zgromadzenie całe — mądrość przemawia przez usta jego, Feredzi jest ulubieńcem Allacha!

— Ale na nieszczęście — mówił dalej poseł — liczba tych psów, tych wszystkich Tuaregów południowych przecho-  
dzi dwa miliony. Panują oni wszechwładnie na wybrzeżach Nigru, od Gogo aż do Kabary. Ci rabusie, spragnieni krwi naszej, wystawiają ogromne wojsko, mają już w pogotowiu kilkanaście tysięcy piechoty i parę tysięcy kopijników na koniach lub wielbłądach mehara. Bandy te mają dwóch wodzów najwyższych, jeden zowie się Alkut Tabu, drugi El Szadir, obaj stanęli głównym obozem w Bambie. Nie ulega wątpliwości, że nikczemnych Auelimidenów namówili i popchnęli do kroków wojennych niegodziwi, podstępni „Ingli-  
sy”, którzy tu w Timbaktu gościnnie byli przyjmowani.

— Zdrajcy to są niecni! — zawołał uroczyście Faam — oby przekłęci byli aż do dwudziestego piątego pokolenia!

— A czy wy wiecie — mówił dalej Feredzi — jakie są zamiary naszych wrogów? Oto postanowili Timbaktu obró-  
cić w perzynę, jak to uczynili niegdyś z miastem Gogo (w ro-  
ku 1770); następnie uderzyć na Hamd Allahi, stolicę Massy-  
ny, zamordować sułtana, całe państwo jego spustoszyć, han-  
del nasz zniszczyć, miasta Rdames i Insalach do upadku doprowadzić, zmuszając mieszkańców okolicznych, aby ztam-  
tąd przenieśli jarmarki do Amador.

— Piekielne to są zamiary! — zakrzyknął znów Faam — przekleństwo nie minie tych psów, psich synów.

— O tak! — potwierdził iman — o takich to niego-  
dziwcach mówi pismo proroka: „Nie godni są napawać się  
wonią raj.” Niema kary zbyt ciężkiej za tak okropne prze-  
stępstwa, oby wszystkie najokropniejsze na nich spadły.

Pocieszywszy się cokolwiek, miotając złorzeczenia  
na wroga, którego innym sposobem nie można było dosię-  
gnąć, dostojne zgromadzenie zaczęło się naradzać nad stoso-  
wnymi środkami obrony w tak wielkim niebezpieczeństwie

— Sułtan Ahmadu, pan mój — ozwał się z powagą  
poseł Feredzi — liczy na mieszkańców tutejszych i ufa, że  
spełnią święce swoją powinność i bronić będą mężnie tego  
miasta, które jest najsilniejszym przedmurzem całego pań-  
stwa.

— Przyrzekamy wszyscy — odpowiedzieli chórem do-  
stojnicy — nie ułękniemy się nikczemnego wroga, do osta-  
tniej kropli krwi bronić będziemy miasta Timbaktu, nie wy-  
damy go w niegodne ręce!

Po chwili uroczystego milczenia, szejka Achmet el Ba-  
kai oświadczył posłowi sułtana, że ma w tej chwili pod roz-  
kazami swemi dwustu dzielnych wojowników Tademeketów,  
przeszło tysiąc ludzi piechoty z plemienia Kel Ulli, ośmiu-  
set Rumasów i cztery tysiące Fulanów. Tych ostatnich,  
jakby przecuciem tknięty, sprowadził był niedawno z Hamd-  
Allahi. Obrońców zatem było wszystkich do sześciu tysięcy,  
o połowę mniej, aniżeli napastników.

(d. c. n.)

## ZADANIE KONIKOWE.

(Od Amaty dla Iskierki z cichego kącika).

go	nia	i	ścią	ki	sy	ła	po
kwia	ga	ja	tki	bie	ws	krów	ła
sąc	dy	się	na	za	bra	czy	sio
ja	tki	Dzień	my	dzia	nej	za	dzi
od	mia	dzi	cień	noc	cho	bi	mro
tam	kwi	ne	ru	zło	czy	wo	ce
ny	wo	ce	ster	ścił	słoń	wy	w głę
tną	pa	spu	co	krze	ka	o	ła

## Łamigłówka zgłoskowa.

a—an—al—ba—fa—gu—i—ka—ka—kół—li—lio  
ła—mum—na—nam—nic—no—o—o—og—po—pup—ra—  
ro—ród—ry—sa—so—stry—sy—ti—tum—wa—war—wą—  
wil—wój—wóz. — Z tych zgłosek ułożyć 18 wyrazów pięcio-  
głoskowych i wypisać w kierunku pionowym, jak wskazują  
kropki, które literami zastąpić trzeba:

.....  
.....  
.....  
.....  
.....

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto portowe w Turcji azya-  
tyckiej. 2. Imię archanioła. 3. Rzeka w Alpach. 4. Ludzie,  
mówiący jednym językiem. 5. Kwiaty wiosenne. 6. Wicher  
afrykański. 7. Wioska w powiecie Maryampolskim. 8. Dawna  
nazwa gramatyki łacińskiej. 9. Miejscowość górską. 10. Kwia-  
ty jesienne. 11. Kwiat wijący się. 12. Miasto słynne podpisa-  
niem pokoju. 13. Miasteczko górnicze w Węgrzech. 14. Zwie-  
rzątko z rodzaju skrobogryzów. 15. Miasto na Litwie.  
16. Ptak. 17. Roślina amerykańska. 18. Kraj w Azji. Od-  
czytawszy rząd pierwszy i ostatni, dowiemy się, kto i dla ko-  
go ułożył tę łamigłówkę.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

### Szarady:

O — sta — tek.

### Łamigłówki zgłoskowe:

KaroL—RiminI—EreB—MorzE—EzeL—RoberT.  
Kremer — Libelt.

**TREŚĆ:** Zbieranie motyli, p. M. J. Z. — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska (c. d.) — Szczególne łowy (z drzew.) —  
Wierszyk (z drzew.) — Siła uczucia, podanie dawne. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) —  
Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Braciszki, wiersz p. M. Ziel. (z drzew.) — Strach, p. M. Weryho. — Model. — Balik  
u Zosi, p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska,  
opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.





## BRACISZKI.

Dwaj braciszki, Józio z Franiem,  
Tak do siebie są podobni  
Wzrostem, twarzą i ubraniem  
I jednakowo tak sposobni,

Do figielków i do psoty,  
Że aż różne z przyczyn takich  
Awanturki i kłopoty  
Spotykają tych „jednakich”.

Nieraz Józio psotę zbroi,  
A ktoś powie: „Wstydz się, Franku,  
Pójdź, za karę psoty twojej  
Na pokutę, mój kochanku.

Franio wtedy ani piśnie,  
Zniesie karę, nic nie powie,  
Tylko brata czule ściśnie;  
Józio płacze, gdy się dowie

Że braciszka zań skarcono,  
Lecz gdy czasem się z nagrodą  
Między braćmi pomyłono,  
Wtedy inna bywa sprawa,  
Każdy woła: „To nie dla mnie,  
Do nagrody nie mam prawa,  
Niechaj brat mój ma ją za mnie”.  
Tak wśród dobrych braci bywa;  
Miła dziatwo, bądź szczęśliwa.

*M. Ziel.*

## STRACH.

W lesie stał mały domek drewniany. Mieszkał w nim gajowy z córeczką. Była zima. Słońce już zaszło i nastał wieczór. Na stole w domku stała wieczerza. Przy niej siedziała matka z córką, ale nie jadły. Czekwały bowiem na ojca, który poszedł las obejść.

Naraz słyszą jakiś jęk na dworze i mocne stukanie do okna. Matka bardzo się przestraszyła, a dziewczynka aż drżeć zaczęła z przerażenia.

— Co to jest, moja mamó — pytała.

— Nie wiem — odpowiedziała matka — chodźmy na ganek, to zobaczymy.

Wyszły. Ale w lesie było ciemno zupełnie i nic dojrzeć nie mogły. Kobiety wróciły do domu, a dziewczynka ciągle wołała:

— Mój Boże! żeby to tatuś prędzej przyszedł, bo tu zginiemy ze strachu.

Przeszło chwil kilka, znowu słyszą te same jęki i hukanie za oknem. Tym razem nie ruszyły się już, tylko z niecierpliwością czekały na ojca. Nareszcie drzwi się otworzyły i wszedł gajowy. Opowiedziała mu żona wszystko, co się wydarzyło.

Gajowy wysłuchał i nie odpowiadając wcale zabrał fuzyą i wyszedł. Za nim żona i córka, trzymając się matki za spódnice.

Gajowy stanął przy ganku; patrzył i słuchał, czy gdzie nie usłyszy głosu. Długo tak stali na jednym miejscu. Naraz słyszą, że coś się rusza koło nich, potem niby ktoś się zaśmiał, ale nikogo nie widzą.

— To pewno jacyś zbójcy — wołała dziewczynka — ach! jak ja się boję — i jeszcze bliżej przycisnęła się do matki.

A tymczasem księżyc się pokazał i gajowy zobaczył na sośnie tuż przy nich dużego ptaka.

— Było też czego się bać — powiedział ojciec. — Ot patrzcie, co było przyczyną waszego strachu.

I gajowy pokazał im dużą, szarą sowę.

— Kiedy to nie to przecie słyszałyśmy, lecz stukanie do okna i głos jakiś.

— To właśnie ona uderzała skrzydłami o okna, sowa wydaje głos taki jak człowiek, jęczy albo chichoce.

— To niech ją tatuś zabije, poco ma nas straszyć.

— Ani myślę jej zabijać. Nic nam złego nie zrobi, a zjada wszystkie szczury i myszy.

I gajowy powrócił do domu, gdzie na nich czekała wieczerza. Teraz wszyscy troje spokojnie ją zjedli.

*M. Weryho.*

## MODEL.

— Pamiętajże, Haneczko, siedź grzecznie, spokojnie, nie wykręcaj się, nie wykrzywiasz, a będziesz wymalowana na ślicznym obrazie. Potem pójdziesz na wystawę i zobaczysz ten obraz, i swoją buzię na nim. Czy ci to nie będzie przyjemnie?

Tak mówiła pani Rudzka do sześciolatniej córeczki swjej Hani. Miała ją zaraz zaprowadzić do pracowni malarza pana Karola S., mieszkającego w tym samym domu na drugim piętrze. Pan Karol malował obraz, przedstawiający zaręczyny małej Jadwigi węgierskiej, późniejszej królowej polskiej, z Wilhelmem. Obaczył przed kilku dniami na dzielniku Hanię; ładna jej twa-



rzyczka miała wyraz roztropności i dobroci, przyszło mu zaraz na myśl, że wyglądałaby doskonale w postaci Jadwigi. Prosił więc matki, aby pozwoliła dziewczynce przychodzić codziennie na godzinę do jego pracowni i służyć mu za model. Modelami nazywają osoby, z których malarze zdejmują podobieństwa do swoich obrazów.

P. Rudzka była to zająca bardzo kobieta, niezamożna wdowa, z pracy rąk, z szycia, utrzymująca troje dzieci. Będąc kiedyś młodą dziewczyną, wypiastrowała dzisiejszego malarza p. Karola, a potem jego siostry. Gdy owdowiała przed dwoma laty i została prawie w nędzy, dobry p. Karol przyszedł jej w pomoc, pożyczył znaczną kwotę pieniężną, mogła więc założyć pracownię krawieczyny i już nawet zaczynała sumiennie spłacać częściami dług zaciągnięty.

Możecie więc sobie wyobrazić, jak ją to ucieszyło, że miała sposobność choć drobną usługę dobroczyńcy swojemu wyświadczyć, dając mu Haneczkę za model. I oto teraz prowadziła ją do pracowni, zalecając, aby spokojnie i grzecznie siedziała.

Hania szczerze przyrzekła mamie posłuszeństwo, bo jej się zdawało biedaczce, że to rzecz nietrudna być modelem, posiedzieć trochę na jednym miejscu. Z początku też zajmowały ją różne ładne rzeczy, które zobaczyła w pracowni malarza, uszczęśliwiona była, gdy ją przebrano w bogate szaty ze złotogłowiu, strój małej królowej Jadwigi i siedziała czas jakiś spokojnie.

Wkrótce jednak zaczęło jej się nudzić, sen ją morył okropnie, ziewnęła raz i drugi, a twarzyczka, wesoła zwykle, tak się brzydko zachmurzyła, że malarz nie mógł dalej malować z takiego modelu, bo Jadwiga nie wyglądałaby na Boże stworzenie.

— Dosyć już na dziś, moje dziecko — rzekł łagodnie — uprzykrzyło ci się, jak widzę, może jutro będziesz troszkę cierpliwsza.

Ale stało się przeciwnie, Haneczka dnia następnego prędkiej jeszcze się znudziła, buzia jej mimowoli się przeciągnęła, błyszczące oczęta przyćmiły się łezkami, malarz był w rozpacz. Rozpoczął już swoją Jadwigę, tak mu się ślicznie udała, a teraz ta mała grymaśnica wszystko zepsuje, jeżeli nie zechce dalej siedzieć spokojnie.

Zaczął p. Karol używać rozmaitych sposobów, ażeby model swój w lepszy humor wprowadzić, kupował przysmaczki, ciastka kremowe, cukierki, wreszcie zabawki, lalki. Na nic się to jednak nie zdało, Haneczka zjadała ciastka, do lalek uśmiechała się przez chwilę, a potem znowu krzywiła się, drzemała, wreszcie wybuchła płaczem.

Pani Rudzka zmartwiła się okropnie, dowiedziawszy się o tem, wyłajała córeczkę, wytłómaczyła jej, że jest niedobrą, niewdzięczną dla dobroczyńcy, który im tyle łask wyświadczył. Haneczka nie była zła, spłakała się więc teraz z żalu i skruchy, przyrzekła matce wszelekich sił dołożyć, aby się przezwyciężyć i spokojnie siedzieć.

Pomimo to nie wytrwała jednak; z pół godziny udało się jej zachować uśmiech i wyraz twarzy wesoły, potem siły ją opuściły, buzia przeciągnęła się nagle i dziewczynka, chcąc się pokonać, takie minki cudaczne robiła,

że p. Karol i śmiejąc się i wzdychając zarazem, musiał przerywać posiedzenie. Sam już nie wiedział, co robić, gdy raz Hanka weszła do pracowni, na progu już ocierając oczęta.

— Ach, moje dziecko — rzekł malarz zniechęcony — jeżeli już przed rozpoczęciem posiedzenia popłakujesz, to lepiej dać pokój wszystkiemu. Przykro mi bardzo, ale muszę sobie innego modelu poszukać.

— O, panie Karolu — odrzekła Hania — ja nie dla tego płaczę; to ta biedna, biedna Madzia!

— Cóż to znów za Madzia?

Tu dziewczynka zaczęła opowiadać, że matka jej małej towarzyski Madzi nie ma czem opłacić komornego, bo chorowała i leżała parę tygodni w szpitalu. Więc teraz biedną p. Wicentową prackę wraz z córeczką Madzią wyrzucić ma właściciel kamienicy na bruk, zgrabwszy wszystkie ich ubogie rupiecie. Haneczka znowu cichutko załkała. A malarzowi nagła myśl przyszła do głowy.

— Słuchaj, Haneczko — rzekł — czy tybys bardzo chciała dopomóc Madzi i jej matce? mogłabyś dostać pieniądze na opłacenie komornego, gdybys tylko chciała szczerze — te ostatnie wyrazy powiedział z takim naciskiem, że mała wlepiła w niego żdziwione oczęta.

— A zkadze ja mogę wziąć tyle pieniędzy?

— Ja ci je dam, Haneczko, i bardzo chętnie, jeżeli odtąd będziesz siedziała spokojnie przy malowaniu obrazu. Malarze zwykle płacą modelom, ja z twoją mamą nie robiłem żadnej umowy, ale powtarzam, że z radością zapłacę ci tyle, ile trzeba na to komorne, będą to twoje własne, uczciwie zarobione pieniądze.

— Czy naprawdę, czy p. Karol nie żartuje? — pytała dziewczynka, składając rączki w zachwyceniu i błyszczącymi z radości oczkami patrząc na niego.

— Nie żartuję, Haniu; ty mi ogromną wyświadcysz przysługę, jeżeli potrafisz być dobrym modelem i siedzieć, jak należy, słusznie też bardzo ci to wynagrodzę.

I cóż powiecie na to: Hanka, która ciągle powtarzała dotychczas mateczce, że żadnym sposobem, za nic w świecie nie może wymódcz na sobie, aby nie drzemać i nie nudzić się przy posiedzeniu, od tej pory siedziała, jak posążek mały. Silna wola i serce dobre dokonały tego, co jej się wydawało niepodobieństwem.

Po ukończeniu obrazu malarz włożył w rączki Hani pieniądze, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Pamiętaj przez całe życie, kochane dziecko, że miłość bliźniego najpiękniejszą jest cnotą, bądź zawsze taką dobrą, jak teraz.

BALIK U ZOSI,

OFIAROWANE SIOSTRZENICZCE ZOSI

przez

Wiochnę z pod Lublina.

Małeńka Zosia jest bardzo szczęśliwą dziewczynką, gdyż oprócz dobrych rodziców, posiada ciocie rozmaitego wieku, w liczbie siedmiu, a te ją bardzo pieścza. Wszystkie te ciocie, duże i małe, mieszkają wraz z babcią



i dziadziem o dwie wiorsty od wioski, gdzie Zosia i młodszy jej braciszek Janek wzrastają pod troskliwą opieką mamusi i tatusia. Wszystkie ciocie kochają serdecznie swych małych siostrzeńców, zwłaszcza Zosię, ta bowiem wkrótce skończy trzy lata, jest więc rozsądną dziewczynką, z którą doskonale zabawić się i porozmawiać można, podczas gdy Jaś nie ma jeszcze roku i dopiero zaczyna mówić i pojmować cokolwiek.

Z pomiędzy swych siedmiu ciotek Zosia najwięcej kocha ciocię Andzię, która jest zarazem jej chrześną mamą, bardzo lubi dzieci, a ile razy przyjedzie, nigdy nie zapomni przywieźć dla swjej pieszczochy jakiego gościńca, choćby tylko cukierków lub ciastko. Mała siostrzenica dopytuje się zawsze ciekawie o odwiedziny cioci Andzi, aż tu niedawno zdarzyło się, że dobra ta ciocia pojechała do Warszawy i cały miesiąc nie zjawiła się do rodziców Zosi. Dziewczynka zapytywała ciągle, kiedy ciocia powróci, a gdy nareszcie dzień ten nadszedł, mamusia dla wynagrodzenia swjej córeczki, która jakiś czas była bardzo grzeczną, przygotowała jej wielką niespodziankę: oto poprosiła, żeby wraz z ciocią Andzię wszystkie inne ciocie przyjechały na bal do Zosi.

Tak więc pewnej listopadowej niedzieli w obydwóch domach radość panowała niezmierna, a przyczyną jej było owe zaproszenie. Siostrzeniczka niecierpliwie oczekiwała gości, a małe ciocie cieszyły się również bardzo, że ją zobaczą, niemniej uśmiechały im się także doskonale przysmaczki, których nigdy nie brakowało na Zosi przyjęciach. Najmłodsza, pięcioletnia ciocia Stefcia, miała wielką ochotę zabrać z sobą lalkę Irenkę, żeby się nie nudziła sama w domu; ale niestety nie było na nią miejsca, gdyż i tak cała gromada ciotek ledwo zdołała się popakować w bryczce. Ciocia Andzia, bona panna Marya i ciocia Stefcia, umieściły się na siedzeniu, ciocia Cela i ciocia Jania na kozle obok furmana, biednej zaś cioci Zosi dostało się najgorsze miejsce, pomimo swych dziesięciu lat, musiała siedzieć w nogach, niżej nawet od pieska Kasztanka, który leżał sobie bardzo wygodnie na kolanach cioci Andzi.

Otóż całe wymienione towarzystwo jechało na bal do Zosi, a że droga była szkaradna i błota dużo, więc bryczka co chwila przechylała się, to w jedną, to w drugą stronę, a małe ciocie głośno wołały: „Och! ach!” myśiąc, że już leżą na ziemi.

Nakoniec dojechano ku wielkiej radości cioci Zosi, która dotąd nie mogła się pogodzić z myślą, że taki tam jakiś warszawski psiak wyższe od niej zajmuje miejsce. Siostrzeniczka Zosia stała sobie w oknie jadalnego pokoju, wychodzącego na drogę i przyłożywszy różową buzię do szyby, patrzyła, jak stara kucharka i niania Joasia wyciągały kolejno z bryczki małe ciocie, Kasztanka i dużo różnych paczek, tajemniczo papierem owiniętych.

Ciocie pozdejmowały futerka w przedpokoju i wszystkie przysły powitać Zosię, było przytem hałasu, krzyku coniemiarą; każdy coś mówił, Kasztanek szczeakał, a mały Jaś z podziwu szeroko otworzył buzię i zdumiony spoglądał dokoła swemi wielkimi, szafirowemi oczami.

Ucałowawszy siostrzenicę, ciocia Andzia zawołała

ją do siebie, rozwinęła jedną z tajemniczych paczek i włożyła jej na główkę śliczny kapelusik, w jedną rączkę pudełko karmelków, w drugą białego królika na kółkach. Dziewczynka nie posiadała się z radości i natychmiast pobiegła pokazać swe skarby mamusi, która tymczasem zastawiła już stół w jadalnym pokoju najróżnorodniejszymi przyborami do balu. Były tam dwa gatunki konfitur, pierniki, cukierki, rodzynki, migdały, słowem mnóstwo dobrych rzeczy. Zosia zaraz przyniosła swą kuchenkę i gospodarstwo, a ciocia Zosia, mianowana kucharką, rozpoczęła gotowanie balu.

Miał to być proszony obiad, że zaś przy każdym obiedzie najpierwszą rzeczą jest zupa, ciocia Zosia zajęła się przedewszystkiem jej przyrządzeniem. Nadrobiła więc pierników, dodała do tego trochę konfitur i wody, i dumna ze swego dzieła, z zadowoleniem pierwszą łyżeczkę dla skosztowania do ust poniosła, gdy nagle skrzywiła się okropnie. Śmiech ogólny powstał z niedanej zupy, gdyż taka była niedobra, że nawet pani domu, mała Zosia, dla ocalenia honoru swjej kuchni, nie zdołała przełknąć ani jednej łyżeczki. Ciocia Andzia zaradziła złemu, przyrządzając jakąś wyśmienitą zupę z czekolady, a ciocia Zosia pocieszyła się nieco po swem niepowodzeniu, gdyż dalszy ciąg obiadu zyskał powszechne uznanie u gości i naprawił jej kucharską sławę.

Po skończonym balu mamusia siadła do fortepianu i wesołą polką dała hasło do rozpoczęcia tańców. Ciocie i siostrzenica wzięły się parami za rączki i śmiejąc się skakały ochoczo po pokoju, a mała Zosia sama, trzymając się pod boczki, przetańczyła polkę i kozaczka, za co zagłuszoną została gradem oklasków. Rozochociono się tak bardzo, że nawet Janek, zwykle poważnie usposobiony, dziś podskakiwał na rękach niani, a Kasztanek biegał z kąta w kąt podług taktu muzyki.

(d. n.)

#### Łamigłówka w kwadraciku (Paf).

2 A — 2 C — 1 K — 1 L — 1 N — 2 O — ułożyć w kwadraciku z 9 podziałek, aby odczytać w obu kierunkach:  
1. Część doby. 2. Rzeka. 3. Miara.

#### ROZWIĄZANIE DO N-ru 26 go.

##### Łamigłówki zgłoskowej:

Koziorożec — Obraz — Cebula — Hamilka — Aro — Ner — Opa — Wiśni — So — Kraszewski — Indy.

Kochanowski — Czarnolesie.

#### Skrzynka do listów.

Krasnolica w dumę wielką wbiła naszą Gołąbkę pocztową doniesieniem, że książd Prefekt nazwał ją „mądrą głową” z powodu tej łamigłówki. Teraz raz po raz nowo układa, ale musi czekać na wydrukowanie, tak samo, jak inni dla braku miejsca.



Lew ucieszył nas bardzo odnowieniem korespondencji, a Gołąbka pocztowa dziękuje mu od siebie za odpowiedź na zadanie. Myli się szanowny Lew sądząc, że do naszego Pisma wyłącznie kobiety pisują, wszak zamieszczamy między innymi prace p. Stanisława z Warszawy, stałym współpracownikiem naszym jest także p. Henryk Wernic, pisarz zasłużony, współredaktor Przeglądu pedagogicznego. Kazio postarzał i spowaźniał, dla tego jedynie ustąpił miejsca Gołąbce.

**Niezapominajce z Polesia** nie potrafimy już dziś wytłomaczyć, dlaczego jej liściki nie były drukowane; prawdopodobnie dla braku miejsca, bo na to rady niema, zwłaszcza, jeżeli te liściki były tak długie jak teraźniejszy.

**Energia** ma słuszość, ładny ten pseudonym powinien ją zachęcać do nabycia tak pożytecznej dla każdego zalety. Co nie przeszkadza kochanej Energii do zmiany pseudonymu na inny, gdyby jej się w końcu uprzykrzył.

**Konwalię różową** upewniamy, że nie wymagamy wcale, aby odpowiedzi na zadania były doskonałe, byle kochane korespondentki pisały je samodzielnie, bez pomocy starszych.

**Kozak dziewczyna** niezbyt uważnie czytuje „Wieczory” skoro nie wie, żeśmy i w tym roku wzywali do składek na kolonie letnie. Kto tylko może, powinien choć drobnym datkiem przyczynić się do tak pożytecznego dzieła i dar Kozaka przyszedł bardzo w porę, serdecznie zaś dziękujemy.

**Literat** nie zupełnie dobrze ułożył poezją z prozy, omyłki w druku żadnej nie było. Nie należy jednak się zrażać, na drugi raz pójdzie lepiej, a wprawa to jest bardzo pożyteczna. Dokładny opis urządzania „doków”, którego żąda od nas Literat, zabrałby za dużo miejsca w Skrzynce do listów.

**Szarża** pewnie niesłusznie tak źle ma wyobrażenie o otaczających ją osobach. Któżby miał ochotę śmiechem parsknąć na widok twarzyczki opuchniętej z powodu cierpienia? Pisanie listów nie wymaga wielkich zdolności, trzeba tylko troszkę uwagi, aby nie robić myłek ortograficznych, nie pisać np. *zemby* zamiast *zemy*; co do stylu, najprostszy zawsze najlepszy.

**Gospozi z nad Warty** nie dziwimy się wcale, że ma ochotę zwiedzić Warszawę i inne większe miasta, bo to rzeczywiście przyjemność niemała dla kogoś, co lubi pamiątki historyczne. Długie liściki, tak porządnie pisane, znudzić nas nie mogą. Gospozi trafnie odgadła, że miłość korespondentek była zawsze najgorętszym naszym życzeniem i dziękujemy Bogu który je spełnić raczył. Łamigłówni zamieścimy, jeśli się okażą bez myłek.

**Jedynaczce** wdzięczni jesteśmy za okazane zaufanie; Gołąbka pocztowa odpisze osobno, jak tylko miejsce na jej list się znajdzie, postaramy się, aby to było jaknajprędzej.

**Jaskółce z nad Sekwany** serdecznie dziękujemy za kwiateczek, chociaż zwiędnąć musiał nim przebył wraz z liścikiem tak daleką drogę! Jesień żartem zapewne żądała opisu Paryża, co można nowego i ciekawego o Paryżu napisać?

**Iskierce lubelskiej** za obietnicę dziękuje serdecznie Gołąbka pocztowa.

**Niezapominajce i Detynie** donosimy, że wypracowania ich doszły do redakcyi. Gołąbka pocztowa zaczyna nam już głowę suszyć o nagrody, utrzymuje, że prawie wszystkie wypracowania na nie zasługują.

**Nadziei, Żabce i Jaszczureczce z nad Smotrycza, Krynicy i Cyganeczce z nad Wisły** serdeczne pozdrowienia zasyła Praca.

**Mazurce z nad Narwi** tyle tylko powiedzieć możemy, że Małeczki w swojej gramatyce każe pisać „raz *męski* przez *s*, ale dawniejsza pisownia *męzki*, pomimo to, więcej jest dotychczas używana. Jeżeli przy łamigłówni nie było napisano, komu jest ofiarowana, to nie dziw, że i w druku to opuszczono, bo na liściki wcześniej się odpowiada, a łamigłówni osobno są składane, zapamiętać zaś takich szczegółów niepodobna. Ta panienska z Ameryki nie pisała jeszcze.

**Kropelkę wody z Wisły** upewniamy, że Gołąbka pocztowa nie jest obraźliwa i na nikogo gniewać się nie myśli, a ponieważ sama

nie próżnuje, więc umie być wyrozumiałą dla tych, co zdają egzamin. To przecież sprawa najważniejsza!

**Mucyk z nad Rosi i Turkaweczka** wielką nam sprawili przyjemność swojemi liścikami. Szczęśliwe dzieci, którym Bóg dał tak dobrych i rozumnych rodziców. Ten pomysł, aby je obdarzyć pieniędzmi tylko wtenczas, gdy je własną pracą zarobią, jest chwalebny bardzo i powinienby być powszechnie naśladowany. A jakaż to radość dla pocziwych dzieci, gdy ten owoc własnej pracy ofiarować mogą ubogim rówieśnikom.

Kochane Siostrzyczko z nad Wisły, Jesieni i Brzydotko z nad Tamizy! Jak jesteście dobre, że pisujecie do mnie! tylko chcąc wam razem odpowiedzieć nie mogę dużo pisać, a to szkoda, kochana Jesieni, chcesz, żebym ci opisała Paryż: otóż najpierw to nie łatwa rzecz, a powtóre długiego liściku nie wydrukowanoby w Wieczorach. Nie napisałaś mi droga Swobodo, w której stronie kraju mieszkasz? A ciebie, kochana Brzydotko, znam już trochę z opowiadania. Ścisam was serdecznie, kochane siostrzyczki, pisujcie często do mnie, i ja skoro będę miała chwilkę wolną z radością wam odpiszę. Wasza siostra Jaskółka z nad Sekwany.

Kochana Jakobinko! We czwartek miałam egzamin, który mi się powiódł. Kiedy pojedziesz do Grodziska? Co panna K. wam zadała? Odpisz prędko kochającej cię Biedronce Warszawskiej.

Kochana Dzieweczko Polska. Proszę cię, odpisz mi, sprawisz mi tem największą przyjemność, gdyż twój pseudonym niezmiernie mi się podobał i od początku pragnęłam z tobą korespondować. Napisz, jak ci na imię, zdaje mi się, że masz tyle lat, ile ja t. j. 10 skończonych, czy zgadłam? Twoja Detyna.

Kochana siostrzyczko z nad Wisły! Zdaje mi się, żeś nową korespondentką, ja też niedawno pisać zaczęłam; czy znajdujesz w tem przyjemność? bo ja wielką. Mam lat tyle co ty na imię mi Cesia, mieszkam na wsi uczę się w domu. Odpisz mi jak możesz najprędzej. Twoja Szarża.

Kochana Różyczko biała z Wołynia! Cóż ty sobie o mnie myślisz, że dotychczas nie masz odpowiedzi odemnie, ale nie moja w tem wina. Nic nie wspomniałaś o trzecim moim bracie Kaziu, ale ja za to wiem, że jesteś jedynaczką i masz imię Helunia. Dęba Poleskiego pozdrawiam, gniewam się na niego, że mi nie da wieści o sobie, czyżby nie zwrócił uwagi na wzmiankę w „Wieczorach”? Odpiszcie mi proszę. Niezapominajka z Polesia.

Kochana Leońciu w Petersburgu! Posyłam ci na imieniny życzenia wszystkiego dobrego. Ucałuj odemnie Bohdanka, Wojcia i malutką Anulkę, zgadnij kto jestem, kochająca Staruszka.

Droga Pokrzywko! Piszę do ciebie nie wiem już który raz. Zawsze się tak złożyło, że albo listu nie wydrukowano, albo nie byłaś łaskawą odpisać. Nie zrażona odzywam się raz jeszcze, a wielką to radość będzie dla mnie, jeżeli odpiszesz, Pokrzywko, bo byłoby to pierwszy liścik przez „Wieczory” otrzymany. Przyjmij serdeczne uściśnienia od nieznannej Lewkonii.

Kochana Cyganeczko z nad Wisły! Bardzo się ucieszyłam, że ty taka duża odezwiałaś się pierwsza do mnie małej. Ja także lubię śpiewać i grać, nazywam się Irena mam lat 7, mieszkam w Pilźnie, ścisam cię serdecznie Kołowrotek.

Kochana Krakowianko! Piszę do ciebie, bo ładny masz pseudonym, jesteś w moim wieku i tak się nazywaś jak ja. Czy lubisz śpiewać krakowiaki? Ja bo jestem krakowianką, czy w domu się uczysz? Ja w domu z dobrą moją cioteczka. Ścisam cię serdecznie, Góraleczka.

#### NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Sokół z nad Bystrzyczy kop. 50. — Czeska Niezabudka kop. 50. — Alunia z Pustyni rs. 10 kop. 70. — Reginka kop. 40. — M. S. kop. 20. — Uczennice gimnazjum łomżyńskiego rs. 8.

Na powodzian: Halinka B. rs. 1.

Ubrania dla biednych dzieci: Heliotrop, Reginka, i Skalka z nad Teterowa z rodzeństwem.